„Albo muzyka, albo fabryka”

Rozmowa w Wojtkiem Wojdą, liderem i wokalistą zespołu Farben Lehre, z którym wygrał jarociński festiwal w 1990 roku.

W 1990 r. Farben Lehre wygrało Jarocin. Pamiętasz jakie inne kapele były wówczas laureatami?

- Pamiętam nie tylko laureatów, ale również inne zespoły, które grały z nami. Nagrodę dziennikarzy dostała wtedy kapela Burdock, nagrodę publiczności Maria Nefeli, a razem z nami wygrały grupy: Gang Olsena i Bundeshwera.

*Czy to zwycięstwo ułatwiło wam późniejszą karierę muzyczną?*

- To bardziej przesłuchanie w Jarocińskim Ośrodku Kultury spowodowało, że znaleźliśmy się w gronie laureatów, niż sam późniejszy występ. Zagraliśmy wówczas na miarę naszych możliwości. Do dzisiaj ze śmiechem wspominam, że zostaliśmy wyróżnieni po słabym koncercie na Dużej Scenie. Wiem, że wtedy ostro rywalizowaliśmy z Pidżamą Porno, a o naszym zwycięstwie zadecydował podobno jeden głos. Czy to coś nam dało? Skłamałbym, gdybym powiedział, że nic. Weszliśmy do profesjonalnego studia, bowiem nagrodą było nagranie kilku piosenek w Izabelinie u Andrzeja Puczyńskiego. Polubiliśmy się z nim na tyle, że zarejestrowaliśmy materiał na całą płytę. Co prawda później pojawił się problem ze znalezieniem wydawcy, ale bez tego Jarocina w ogóle nie doszłoby do sesji nagraniowej. Kto wie, kiedy wydalibyśmy debiutancki album...

Byłeś wielokrotnie na festiwalach w Jarocinie. Z pewnością masz sporo wspomnień z nim związanych. Chciałbym abyś przywołał te najważniejsze dla ciebie.

- Ze względu na muzykę, najlepiej wspominam festiwal w 1984 r. Pojawiły się wtedy tak ważne zespoły jak Siekiera, Prowokacja, Moskwa, Abaddon i Sedes. Pamiętam również mniej przyjemne wydarzenia, np. w 1985 roku ukradziono nam cały namiot, przez co mieliśmy spore problemy z noclegiem.

Następne impresje wiążą się już z samym graniem na Festiwalu. Słynna zadyma w 1993 r., w czasie której doszczętnie zniszczono Małą Scenę. Było to podczas koncertu Smaru SW. Mieliśmy wtedy grać jako następni, zatem staliśmy z boku sceny i widzieliśmy wszystko "jak na dłoni". Bramkarze reagowali zbyt ostro, ewidentnie prowokując publiczność. Stąd wzięła się cała agresja tłumu. Takich sytuacji się nie zapomina - chwilami czułem się jak na wojnie... Rok później Farben Lehre ponownie znalazło się w samym centrum zamieszania. Tym razem, pod tzw. "Pałacykiem" grupa kolesi biła ówczesnego gitarzystę Armii - Michała Grymuzę oraz perkusistę Róż Europy. Wraz z chłopakami z zespołów Sajgon i Defekt Muzgó stanęliśmy w ich obronie. Po tym nieprzyjemnym zajściu Armia wycofała się z udziału w tamtym Festiwalu.

Z koncertów, jakie zagraliśmy na jarocińskiej scenie najlepiej wspominam ten z 1993 roku.

*Czy kiedy byłeś młodszy, rodzice bez żadnych problemów puszczali cię do Jarocina?*

- Można powiedzieć, że ja swoich rodziców sam sobie wychowałem. Były takie momenty, że kilka razy zrobiłem samowolny wyjazd, chociaż nie do końca na zasadzie ucieczki z domu. Mówiłem, że i tak pojadę, po czym stawiałem na swoim. Z czasem wszelkie opory zostały złamane.

*Jak radziłeś sobie z prohibicją, która zawsze towarzyszyła festiwalom?*

- Pamiętam taki obrazek, bodajże z 1994 roku, gdzie funkcjonowały dwa światy - ten wynikający z prohibicji i ten "normalny" - alkoholowy. Szedłem sobie z Frankiem (późniejszym wokalistą Podwórkowych Chuliganów) po jarocińskich ulicach. Nagle patrzymy, a w pewną bramę, obok budynku z czerwonej cegły (narożnik ul. Węglowej i ul. Szubianki w Jarocinie - przyp. red.) wchodzi mnóstwo ludzi. Z ciekawości podążyliśmy za tłumem. Naszym oczom ukazał się drugi świat - normalny ogródek piwny, gdzie ludzie na luzie "jadą" browar i wino. Przyznaję, że skorzystaliśmy wtedy z tego "ogródka", zaopatrując się w kilka win o smaku truskawkowym. Akurat to zdarzenie mnie rozśmieszyło, bo pamiętam, że za komuny prohibicja na festiwalach była bardziej rygorystycznie przestrzegana. Na przykład, w 1985 roku po piwo musieliśmy jechać aż do Ostrowa Wielkopolskiego. W sumie Polak potrafi... Zresztą Al Capone i jego ludzie też pokazali, że prohibicja to jedno, a rzeczywistość to drugie.

W tym roku podczas festiwalu odbędzie się konkurs młodych kapel. Czy twoim zdaniem zwycięstwo w nim może stać się dla zespołów trampoliną do kariery?

- Jest taka dziwna zasada, że szanuje się coś, czego już nie ma. A jak już jest, to się kopie... Kiedy funkcjonował Jarocin - wszyscy krzyczeli, że nic nie daje, wciąż to samo, rządzą układy, korupcja itd... Jak tylko przestał istnieć, to nagle okazało się, że młodym kapelom zabrakło tego festiwalu. Zawsze stawałem w opozycji wobec tego typu negatywnych opinii. Jarocin był miejscem, gdzie na scenie bez żadnych obciążeń i ograniczeń mogły się pokazać ówczesne, debiutujące zespoły. Tym bardziej, że tamtejsza publiczność zawsze należała do wyjątkowych. Byłem na 13 festiwalach, a na siedmiu z nich grałem. Życzyłbym Jarocinowi, aby ten festiwal stał się przyszłością, a nie tylko reliktem przeszłości. Być może, jeżeli zostanie przeprowadzony solidny konkurs kapel, a dla zwycięzców znajdą się praktyczne nagrody - impreza nawiąże do czasów swojej świetności. Obecnie jej rangę mogą przywrócić sponsorzy, którzy pojawią się wówczas, gdy do Jarocina ponownie tłumnie zaczną przyjeżdżać młodzi ludzie. Nie należy wprowadzać żadnych innowacji w formule, bo koncertów z nowinkami mamy w nadmiarze. Jarocin powinien na zawsze pozostać Jarocinem...

Kiedyś czytałem w jakieś rozmowie z tobą, jak tłumaczyłeś się z oskarżeń, iż nie jesteście już niezależnym zespołem, ponieważ, bierzecie pieniądze za koncert. Chciałbym abyś to skomentował i powiedz czy w ogóle można wyżyć z grania muzyki?

- Takie oskarżenia najczęściej padają z ust osób, które są na utrzymaniu rodziców. Tatuś z mamusią dadzą pieniądze, aby ich dziecko pojechało na koncert czy kupiło sobie gitarę. Są to jednocześnie zarzuty ze strony kapel, które dopiero co raczkują w muzycznym świecie. Uważają się za niezależne, bo nie biorą pieniędzy za granie, abstrahując od tego, czy ktoś w ogóle by im zapłacił za występ. Punkt widzenia zależy zawsze od miejsca siedzenia. W pewnym momencie trzeba wybrać: albo muzyka, albo fabryka; albo gramy, albo pracujemy na etatach... Gdy pracujemy 8 godzin dziennie, to pozostaje jedynie, tzw. "granie po robocie". Człowiek jest wtedy zmęczony, wyzuty z wszelkiej energii i pozytywnych wibracji. Z takiego grania zwykle niewiele wychodzi. Skoro wybraliśmy muzykę, to regularnie podnosimy swój poziom muzyczny i rynkowy do takiego pułapu, żeby móc brać zasłużone pieniądze za koncert. Nie są to rzecz jasna sumy, które pozwolą nam odpoczywać na Kajmanach czy Karaibach, tylko takie, za które da się przeżyć i normalnie funkcjonować. Branie kasy za koncerty przez jakikolwiek zespół nigdy nie było i nie jest dla mnie żadnym grzechem. Pozostaje tylko zasadnicze pytanie... Czy pieniądze stanowią cel działania, czy też jest nim dobra muzyka, a pieniądze są jedynie środkiem do osiągnięcia celu? Żeby tworzyć dobrą muzykę, grać, egzystować i poświęcać się zespołowi bierzemy pieniądze za koncerty, bo z czegoś trzeba zakupić sprzęt i opłacić rachunki. To zupełnie normalne i naturalne. Istniejemy już 20 lat, a przez pierwsze 10 graliśmy praktycznie za zwrot kosztów podróży. W efekcie długo dokładaliśmy do tego, co robimy. Życzę każdej kapeli, aby tak długo przetrwała, grając na minusie...

Czy da się wyżyć z grania? "Z tego nie da się wyżyć. Dlatego teraz jestem przedstawicielem handlowym Era Gsm" - powiedział mi kiedyś jeden punk-rockowiec z Płocka, który też grał w zespole, krzyczał o komercji, niezależności, ideałach, a dzisiaj jest... przedstawicielem wielkiej korporacji...

*Czym się różni dzisiejsza scena rockowa od tej kiedyś?*

- Kiedyś było zdecydowanie mniej zawiści i hipokryzji pomiędzy samymi zespołami. Kapele trzymały się razem, bo łączył je wspólny wróg - komuna. Nie było problemów, np. z pożyczaniem gitar czy innych akcesoriów. Obecnie odczuwa się większy nacisk na konkurencję i wzajemne podjudzanie. Zauważam natomiast pozytywną ewolucję wśród publiczności współczesnych koncertów. Wydaje się być bardziej zjednoczona, nie ma tradycyjnego kiedyś podziału na publiczność metalową, bluesową czy punkową.

Bardzo często media w Polsce określają wasz zespół jako "żywa legenda polskiego punk-rocka". Czy ty również uważasz, że Farben Lehre to kapela punkowa?

- Nigdy nie uważaliśmy się za zespół stricte punkowy, to raczej ktoś nas tak nazywał i często nazywa. A my jesteśmy przede wszystkim grupą czterech facetów, którzy od wielu lat robią to co naprawdę lubią. Nie ulega wątpliwości, że Farben Lehre posiada punkowe korzenie. Wiąże się to z naszymi preferencjami muzycznymi i częściowo ideologicznymi. Skłamałbym mówiąc, że idea punk-rocka (zwłaszcza tego angielskiego z lat 70-ych) nie wywarła na nas żadnego wrażenia. Ja tym zagadnieniem zajmowałem się już w wieku lat 16-stu, zaś w 1983 roku miałem pierwszy, aktywny kontakt z tą muzyką. Podsumowując. Korzenie - na pewno tak. Kapela punk-rockowa - nie do końca.

Ostatnio w waszej muzyce pojawiło się dużo elementów reggae czy ska. Czy to wynik poszukiwań nowych brzmień dla Farben Lehre?

- Tak się składa, że zawsze lubiłem muzykę reggae, natomiast niekoniecznie przepadałem za ska. Reggae ma niepowtarzalny, pozytywny puls, a Ska jest bardziej skoczną muzyką, nadającą się do szybkiego tańca.

Nie jest to oczywiście tak, że nagle odkryliśmy "Amerykę" w postaci muzyki reggae. Już w latach 70-ych Bob Marley śpiewał piosenkę "Punky Reggae Party". Te dwa gatunki ścierały się od dawna, czego najlepszym przykładem jest twórczość niezapomnianej formacji The Clash. Chcemy, żeby Farben Lehre było zespołem, który się rozwija, poszukuje nowych doznań i emocji. Kiedy non stop robisz to samo, w pewnym momencie przestajesz być twórczy i kreatywny. Nawet najlepszy film, obejrzany po raz siódmy zaczyna robić się nudny. Wszystko jest już w nim odkryte i niczym nie zaskakuje...

Rozmawiał Patrik Pinczewski